

## Risorgimento. Zwycięzcy piszą historię

Żadne z wchłoniętych przez Piemont państw nie wyrażało chęci i zgody na „połączenie się w całość z Piemontem”, i to na warunkach bezwzględnego podporządkowania się jemu i jego władcy



**Żadne z wchłoniętych przez Piemont państw nie wyrażało chęci i zgody na „połączenie się w całość z Piemontem”, i to na warunkach bezwzględnego podporządkowania się jemu i jego władcy**

*Io non festeggio* – powtarzałem przedwczoraj solidarnie z potomkami tych, którzy nie mają żadnego powodu do radosnego świętowania 150 rocznicy tzw. zjednoczenia Włoch. Ku mojemu zaskoczeniu znalazło to

dość szeroki i życzliwy odzew, gdyż spodziewałem się raczej gromów potępienia za mój „rewizjonizm”, mając w pamięci i siłę stereotypów w ogóle, narzucanych przez urzędową edukację i propagandę, i – w tym konkretnym przypadku – długą tradycję okazywania w Polsce całkowicie jednostronnej i bezwarunkowej sympatii dla „włosko-patriotycznego” *Risorgimenta*. Byli w tym zadziwiająco zgodni i nasi „patrioci starej daty” z nurtu romantyczno-insurekcyjnego, i pozytywistyczni liberałowie, i endeccy wyznawcy nacjonalizmu „nowoczesnego narodu” (którzy też chętnie absorbowali tezę, iż Mussolini „dopełnił” *Risorgimento*), i *tutorzy* sanacyjnego „wychowania państwowego”, którym epopeje Garibaldiego znakomicie komponowały się z bojami Komendanta I Brygady, i wreszcie komuniści, którzy mieli okazję do podkreślenia „postępowości” tradycji „narodowo-wyzwoleńczych” (acz oczywiście niepełnej, bo przedmarksowskiej i klasowo nieuświadomionej), jak również do dyskretnego podkreślania w podręcznikach historii, że płk Nullo i inni włoscy ochotnicy w powstaniu styczniowym to dobrzy „internacjonalistyczni” koledzy rosyjskiego („prawie radzieckiego”) kpt. Potiebni, a może nawet prekursorzy wszechświatowej *borby* z faszyzmem pod wodzą Słońca Ludzkości i jego wiernego emisariusza na ziemi włoskiej, Palmira Togliattiego.

Jakiegokolwiek przeto były to czasy – zaborowe (od schyłku XIX wieku), II Rzeczypospolitej, PRL-u – kilka pokoleń polskich dzieci (zdaje się, że moje było ostatnie) katowano w szkołach lekturą niemożliwie sentymentalnego gniotu (przetłumaczonego przez równie nieszczęsną grafomankę, Marynię Konopnicką), pt. *Serce*, niejakiego Edmonda De Amicisa, w którym to „arcydziele”, tryskającym gejzerami egzaltowanego patriotyzmu, najbardziej wymownym przemilczeniem

było to, że jego dziecięcy bohaterowie, których wzrusza do łez każdy kamień na włoskiej ziemi, nigdy nie zauważają w tym pejzażu żadnego kościoła!

Krótko mówiąc, figury takie, jak wspomniany Garibaldi, Mazzini czy Cavour (a więc zarówno „lewica”, jak i „prawica”, *Risorgimento*, więc można było sobie kłaść akcent w zależności od własnych upodobań), miały u nas zawsze dobrą prasę: to byli „dobrzy chłopcy”, walczący o słuszną sprawę, i nawet niewielu gorliwym katolikom przeszkadzał fakt, iż po zakończeniu ziemskiego żywota zostali oni, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, lokatorami piekła. Jak to zaś jest dzisiaj, w Trzeciej Rzeczypospolitej, nie do końca się orientuję, bo szczęśliwie dla siebie już całe wieki temu przestałem być ofiarą przymusu szkolnego. Podejrzewam jednak, że w naszej „postpolitycznej” rzeczywistości jakakolwiek „polityka historyczna” nie ma już samoistnego znaczenia (doskonale potwierdza to klęska próby jej przywrócenia w okresie rządów PiS), toteż utrwalony od dawna stereotyp „leci” w szkołach na zasadzie prostej inercji i już bez żadnych emocji – zresztą nauka historii została skazana na zagładę przez ministerium edukacji w gabinecie p. Tuska; tak samo, jakiejś słodkiej idiotce z telewizora też przecież wszystko jedno czy *news*, który podaje, dotyczy radosnego festynu na ulicach Rzymu z okazji rocznicy „zjednoczenia”, czy zakończenia karnawału w Río – i tak za chwilę o nim zapomni.

Czy zatem w ogóle ma sens próba przebijania się przez tę skorupę stereotypów i odkłamywania historii napisanej przez zwycięzców, skoro są to wszystko „zwłoki metafor” nagromadzonych przez naszych przodków, nie mające już żadnego znaczenia nawet jako narzędzia panowania dla naszych postpolitycznych i też pozbawionych

jakiegokolwiek indywidualnego oblicza władców? Owszem, ma, acz z uwagi na zupełnie innego adresata niż masowy konsument pigułek Murti-Binga, bo na tę – skądinąd godną podziwu, z uwagi na okoliczności – szczupłą grupę, młodych zwłaszcza ludzi, dla których *historia, idee, polityka* wciąż jeszcze są przedmiotem namysłu, także zreflektowanego na działanie, i którzy pojmują, że umiejętność odczytania sensu zdarzeń, choćby tak odległych w czasie i przestrzeni, ma znaczenie dla usensownienia życia ich samych i wspólnot, z którymi wciąż się identyfikują i pragną ich dobra, ale którzy studiując te wydarzenia wpadają w pułapkę owych zakrzepłych fałszów i mitów.

Nie będę tu wszelako silić się na pełną refutację owych fałszów w odniesieniu do historii *Risorgimenta*. W szczególności, nie będę przywoływać już argumentów natury „legitymistycznej”, zdając sobie sprawę z ich – niestety! – niewielkiej nośności w dzisiejszym świecie. Nie będę nawet skupiać się na (anty)religijnym aspekcie „zjednoczenia”, acz nie wolno nigdy o nim zapominać. Chcę jedynie zwrócić uwagę na trzy, wciąż jeszcze powszechnie zrozumiałe, lecz kompletnie zafałszowane, kwestie dotyczące postrzegania tego tematu.

Zacznijmy od sprawy najprostszej, bo terminologicznej, czyli terminu *zjednoczenie*. Słownikowa definicja powiada, iż jest to „organizacja powstała z połączenia instytucji o podobnym charakterze”. Czasownik *zjednoczyć* znaczy zaś tyle, co „połączyć w całość w celu wspólnego działania”. Jest przeto zupełnie jasne i oczywiste, że *zjednoczenie* zakłada równorzędną *podmiotowość* kilku (co najmniej dwóch) podmiotów, które wykazują wolę połączenia się dla wspólnego działania i *abyśmy byli jedno*. Jeśli *ja* i *ty* mamy tworzyć jedno *my*, to zgoda na bycie odtąd jedną całością musi zostać *expressis verbis*, świadomie i dobrowolnie, wyartykułowana – tak jak w akcie zawarcia

małżeństwa: „ja, X, biorę sobie Ciebie Y za żonę, ja Y biorę sobie Ciebie X-a za męża...”. Jeżeli ten warunek nie jest spełniony, nie może być mowy o *zjednoczeniu*, a jedynie o przymusowym podporządkowaniu sobie jednego podmiotu (a właściwie wówczas już *przedmiotu*) przez drugi; o jego uprzedmiotowaniu i zawłaszczeniu. Innymi słowy, w sensie politycznym jest to *podbój*. I taka właśnie sytuacja zaszła faktycznie na Półwyspie Apenińskim wraz z Sycylią w latach 1859-1861, z rzymską „dogrywką” w 1870 roku. Żadne z wchłoniętych przez Piemont (Królestwo Sardynii) państw nie wyrażało chęci i zgody na „połączenie się w całość z Piemontem”, i to na warunkach bezwzględnego podporządkowania się jemu i jego władcy. Trudno zwłaszcza wprost wyobrazić sobie, aby suweren Państwa Kościelnego – będący jednocześnie widzialną Głową Kościoła Powszechnego – miał życzenie *zjednoczyć się* z (jakimkolwiek) partykularnym królestwem, i to do tego stopnia *złączenia* („wyłączającego włączenia” – ale w tym wypadku siebie samego, jak by powiedział Giorgio Agamben), aby odstąpić jego władcy nawet swój własny pałac.

**Wszystkie te państwa zatem były przez Piemont najechane zbrojnie, pokonane, podbite, spacyfikowane, okupowane, obłożone drakońskimi kontrybucjami i ostatecznie zaanektowane, a dalej już systematycznie ograbiane i wyzyskiwane.** Oczywiście takie zdarzenia wielokrotnie zdarzały się, zdarzają i będą zdarzać w historii, bo łupieżcza chciwość cudzych ziem i dóbr jest nieodłączną stroną zepsutej ludzkiej natury. Wiadomo też, że i historycy, i politolodzy, bez większych zahamowań posługują się takimi sformułowaniami, jak „zjednoczenie przez podbój”. Lecz jest to bezwstydna kapitulacja przed najbardziej wulgarnym amoralizmem, za nic mającym również reguły semantyki. Wartość semantyczna (i etyczna) frazesu „zjednoczenie przez podbój” jest dokładnie taka sama, jak sformułowania „ożenek przez gwałt” – i to z „ciężkimi obrażeniami

ciała” oraz z ograbieniem ofiary z jej kosztowności i zawartości jej portmonetki. W interesującym nas wypadku, Sycylia czy Toskania „nie wzięły sobie Piemontu za męża”, tylko zostały brutalnie pobite, zgwałcone i obrabowane. Nie możemy oczywiście zmienić biegu historii i „unieważnić” tego podboju; nie musimy jednak również poddawać się dobrowolnie terrorowi języka zdobywców i nazywać gwałt „hymenem”. Nie uda nam się też upudrować zadanych ran eufemizmami o „złożoności” i „bolesności” zasadniczo jednak „słusznego” procesu historycznego. Trzeba po prostu nazywać rzeczy po imieniu. Nawiasem mówiąc: jeśli usprawiedliwić owo niedobrowolne, lecz jakoby konieczne, „zlewanie się” wszystkich *apenińskich strumyków do włoskiego morza* pod piemoncką hegemonią, to ja przynajmniej nie potrafiłbym znaleźć przekonujących argumentów przeciwko idei (i jej podobnemu wcielaniu w życie) zlewania się wszystkich *słowiańskich strumyków*, włącznie z polskim, do *morza rosyjskiego*. A dlaczegoż by nie, skoro *duże* i *podobne* jest zawsze piękne?

Druga kwestia, i to kardynalnego znaczenia, bo ona właśnie najbardziej hipnotyzuje zwolenników (lub przynajmniej skłonnych do usprawiedliwiania) „dziejowej konieczności” owego *zjednoczenia*, to argument „narodowy”. *Risorgimento* mieści się oczywiście doskonale na trajektorii rozwoju tego iście diabelskiego wynalazku francuskich jakobinów, jakim jest „jednolite i niepodzielne”, scentralizowane „państwo narodowe”, które koniecznie musi na jednym terytorium zawrzeć w swojej administracyjnej, żelaznej obręczy wszystkich, którzy wywodzą się z jednej etnii i mówią jednym językiem, a przynajmniej zbliżonymi dialektami. Jeżeli zaś jacyś autochtoni, żyjący na danym terytorium albo do niego włączeni („zjednoczeni”) nie wykazują pożądanego entuzjazmu do bycia członkami tak pojętego „nowoczesnego narodu”, to należy im – jak to precyzyjnie wyłożył

„zjednoczonym” akurat z II Rzeszą Alzacyjnykom, liberalny (tak samo jak patrioci *Risorgimenta*, tylko nieromantyczny) nacjonalista Heinrich von Treitschke – „uświadomić”, że są (w tym wypadku) Niemcami, „choćby wbrew ich własnej woli” (pół wieku później, francuscy neojakobini „uświadamiali” im to samo i tak samo, tylko w drugą stronę – że mają być Francuzami ściśle na paryską modłę). Ten nacjonalitarny bakcyl szerzył się w XIX wieku jak pożar po całej Europie, toteż nic nadzwyczajnego, że dotarł i do Włoch. Z punktu widzenia idei narodu, tak pojęte „państwo narodowe”, które „uświadamia” nieuświadomionym do jakiego narodu należą jest zresztą zadziwiającym paradoksem, albowiem wówczas przecież to urzędnicy siedzący przy biurkach w niezliczonych urzędach tego państwa decydują ostatecznie co jest, a co nie jest, „narodowe”. „Duch narodu”, który winien przecież – jak to duch – wiać „kędy chce”, musi jednak wiać zgodnie z kierunkiem nadanym mu przez paragrafy i ustępy okólników.

Mogę zrozumieć i usprawiedliwić motywowane *włoską ideą narodową* dążenia do połączenia krajów północno- i środkowo-włoskich, bo w tym wypadku można mówić o przywróceniu dawno utraconej jedności wczesnośredniowiecznego (powstałego po rozpadzie imperium Karolingów w 888 roku) *Regnum Italicum*, którego czterech pierwszych władców otrzymało nawet od papieża koronę cesarską, a które później stanowiło przez wieki formalnie jedną z baz terytorialnych teoretycznie uniwersalnego *Sacrum Imperium Romanum*. Jakkolwiek już w średniowieczu nastąpiła daleko posunięta partykularyzacja polityczna na tym obszarze, nie ulega wątpliwość, że Florencja, Piza, Siena, Padwa, Bolonia, Wenecja, Genua, Turyn, Mediolan etc., to wprawdzie nieraz śmiertelnie skłócone (jak Florencja z Sieną), ale jednak należące do narodowo-kulturowej rodziny *italianità* konary tego samego drzewa, toteż położenie kresu rozbicia i ponowne „splcenie” polityczne tych

konarów wydaje się rzeczą naturalną i słuszną. W wypadku Lombardii (gdzie uformował się tzw. katolicki nurt *Risorgimento* z takimi postaciami jak poeta Alessandro Manzoni, pisarz Silvio Pellico czy wielki kompozytor Giuseppe Verdi) dążności te dodatkowo usprawiedliwiał fakt okupacji Lombardii i Wenecji (tzw. Królestwo Lombardzko-Weneckie, *ad hoc* wymyślone na kongresie wiedeńskim) przez Austrię, do czego nie miała ona żadnego prawowitego tytułu, gdyż Habsburgowie byli przez kilka wieków książętami Mediolanu nie jako władcy Austrii, tylko jako elekcyjni władcy Świętego Cesarstwa, a to przestało istnieć w 1806 roku. Owa odzyskana jedność Italii (w ścisłym sensie b. *Regnum Italicum*) mogłaby jednak polegać na zawiązaniu konfederacji dotąd istniejących państw (oraz Lombardii i Wenecji), w której królowi Piemontu przypadłaby z natury rzeczy godność *primus inter pares*, a może nawet Dom Sabaudzki mógłby wskrzesić i sięgnąć – za zgodą książąt Toskanii, Parmy i Modeny – po tytuł króla Italii w tych granicach, zaś dla owego królestwa naturalną i godną stolicą byłby chociażby Mediolan – już kiedyś (w epoce św. Ambrożego) będący przecież nawet siedzibą rzymskich cesarzy. Jeśli zatem mamy na uwadze racje *włoskiej idei narodowej* (o której *pięknie* mówił nawet tak brutalnie przez jej nosicieli potraktowany papież bł. Pius IX), to mogły być one spełnione drogą słuszności, prawa i prawdy, bez uciekania się do gwałtu i zniszczenia tego, co istniało.

Zgoła zupełnie odmiennie (pomijając przy tym, jak uprzedziłem, jeszcze innej natury kwestię Państwa Kościelnego) przedstawia się zagadnienie Królestwa Obojga Sycylii (Neapolu). Ani południowa część Półwyspu Apenińskiego, ani tym bardziej Sycylia, nie były nigdy – od czasu upadku imperium rzymskiego – nazywane „Italią”. Nawet w sensie językowym trudno mówić w pełnym tego słowa znaczeniu o „włoskości”: dialekt sycylijski (niektórzy mówią wprost o języku sycylijskim, mającym swój własny zespół dialektów) chociażby jest

niewątpliwie pokrewny toskańskiemu (czyli ostatecznie „włoskiemu” literackiemu), ale nie bardziej niż portugalski kastylijskiemu. Przede wszystkim jednak ten obszar stanowił „od zawsze” wyraźnie odrębną i posiadającą w związku z tym własną „fizjognomię” jednostkę cywilizacyjną i polityczną. Zauważyłem, że osoby skłonne do usprawiedliwiania najazdu Piemontczyków lubią rozwozić na ciężką dolą Sycylii i *Meridionale*, od niepamiętnych czasów najeżdżanych i podbijanych przez niezliczone ludy, państwa i dynastie, natomiast ten ostatni epizod traktują jako coś w rodzaju definitywnego wybawienia od owych opresji. Ten brak konsekwencji wypływa zapewne właśnie z prezentystycznego nakładania nowoczesnej kategorii „narodowości” na historię, co jednak jest absurdem, bo zakłada to (bezpodstawnie), iż od wieków na tym obszarze istniała jakaś narodowo-polityczna „włoskość”, która ciągle jęczała pod jarzmem „obcych” i wypatrywała tylko aż w końcu przybędą jej rodacy z Północy i przyniosą jej upragnioną wolność. Nieustanne podboje i przechodzenie z rąk do rąk tych ziem jest oczywiście „faktograficzną” prawdą (acz nie jest nią już to, że to nieprzerwany ciąg opresji) – trudno się zresztą dziwić temu, że ten „raj na ziemi”, jakim jest Sycylia, kusił i przyciągał, nie mówiąc już o znaczeniu strategicznym. Jeżeli jednak dba się o konsekwencję w myśleniu, to należy powiedzieć, że „wyprawa czerwonych koszul” była niczym innym, jak właśnie kolejną – i ostatnią, jak dotąd – inwazją „obcych”. „*Ogromny chłód wieje od Longobardów*” – pisał poeta; dla Sycylińczyków i Neapolitańczyków Anno Domini 1860 taki sam chłód, jak wieki temu od Longobardów, Wandalów czy Ostrogotów, wiał od kolejnego, piemonckiego „Ludu Północy”.

Ten sam „nacionalitarno-plemienny” prezentyzm razi w epatowaniu „obcością” normańskich, niemieckich (Hohenstaufowie), francuskich czy hiszpańskich władców tych ziem. Jeśli nawet bywało tak na początku, to owi władcy bardzo szybko wrastali w tę ziemię i stawali się

jej dobrymi gospodarzami. Nie należy sobie wyobrazać, że za panowania dynastii aragońskiej, potem hiszpańskich Habsburgów i wreszcie Burbonów, „Włosi” uginali się pod jarzmem „Hiszpanów”; to była zupełnie „swojska” władza, tak samo jak Andegawenów na Węgrzech czy Jagiellonów w Polsce. Pierwszego króla Sycylii z Aragonii (Piotra I) na tron wezwali sami Sycylijczycy, zdesperowani srogimi rządami Karola I Andegaweńskiego (słynne „nieszpory sycylijskie” w 1282 roku). Najdłuższy ze wszystkich okres panowania na Sycylii i w Neapolu Habsburgów, a potem „hiszpańskich” Burbonów, to zasadniczo czas pokoju, stabilności i systematycznego rozkwitu, zwłaszcza kulturalnego, zakłócony tylko dwoma interwałami: wojną sukcesyjną o tron hiszpański na początku XVIII wieku i najazdem hord rewolucyjnych z Francji w latach 1799-1815.

Koniec końców: właśnie ta burzliwa i dramatyczna – ale także jak gigantyczny fresk czy gobelin lub scena najdoskonalszej tragedii – historia Sycylii, Neapolu, Kampanii, Kalabrii i Abruzji, w której jak warstwy palimpsestu nakładają się cywilizacje i rządy Fenicjan, Wielkiej Grecji, Rzymu, Wandalów, Bizancjum, Saracenów, Normanów, Świętego Cesarstwa Staufów, Andegawenów, Aragończyków, wreszcie *Napoli spagnola*, tworzyła niepowtarzalny amalgamat najwyższej jakości i nieprzebranego bogactwa kulturalnego, który należało pielęgnować, a nie niszczyć. **„Sformatowanie” potomków tych cywilizacji jako „Włochów” takich samych jak Piemontczycy czy Lombardczycy, podług tego samego, etnonacjonalistycznego strychulca, nijak nie podniosło i nie spotęgowało *Duosiciliani*, lecz przeciwnie – nieodwracalnie ich pomniejszyło i zubożyło, tak samo jak wyrwanie z instrumentu wszystkich strun poza jedną czy sprowadzenie palety barw do jednolitej szarości.**

Trzecia i ostatnia kwestia, do której już tylko pokrótce pragnę się odnieść, aby nie znużyć do końca czytelników, to szczególnie przykry i niesprawiedliwy przypadek „czarnej legendy” Południowców, jako zacofanych, ciemnych i leniwych brudasów, na których światli, przedsiębiorczy i pracowici Włosi z uprzemysłowionej Północy muszą nieustannie łożyć, a i tak wszystko, co ze wspólnego budżetu państwowego idzie na ten cel, rozkrada mafia. Jako „oczywistą oczywistość” traktują ten podział na Włochów „lepszycy” i „gorszyzy” nie tylko separatystycznie dziś nastawieni (o ironio historii!) „Padańczyzy” – twór oczywiście sztuczny i na czysto materialistycznym egoizmie oparty – z Ligi Północnej, ale i narody postronne, w tym chyba niemal każdy Polak. Jak każde gigantyczne kłamstwo, również i to zbudowane zostało na ziarnie prawdy, tyle że perwersyjnie przekręconej. To prawda, że Południe jest biedniejsze, wsysa w wyciekającą dziurę nieustanny strumień dotacji i jest zdominowane przez mafie: ale to wszystko stanowi właśnie bezpośredni skutek „zjednoczenia”, nie jest natomiast jakąś immanentną właściwością „gorszej jakości” czy wręcz „niższości” ludzi z *Meridionale*.

Przed inwazją z Północy Królestwo Obojga Sycylii było kwitnącym gospodarczo, utrzymującym zdrową równowagę między rolnictwem a przemysłem, państwem o równie zdrowej i zrównoważonej strukturze społecznej. Nieznany był wówczas głód ani emigracja zarobkowa. Historycy obliczają, że w królestwie tym łączna wartość kapitałów znajdujących się w obiegu wynosiła (przed najazdem) 443,3 mln lirów – ówczesnych oczywiście – w złocie, co stanowiło 67 procent ogółu kapitałów we wszystkich państwach Półwyspu Apenińskiego. Było zatem niewątpliwym prymusem finansowym we Włoszech (na drugim miejscu też wcale nie był Piemont, lecz Państwo Kościelne z 90,7 milionami). Królestwo Neapolu miało też trzecią w Europie co do

wielkości oraz pod względem tonażu i obrotów flotyllę handlową. W gęstości sieci kolejowej wyprzedzała je tylko Anglia. Miało zatem wszelkie warunki dalszego rozwoju. Najazd oznaczał zaś nie tylko ucisk polityczny i represje (egzekucje co najmniej 18 000 osób, pierwszy w historii obóz koncentracyjny dla żołnierzy burbońskich), ale celową i trwałą ruinę gospodarki Południa. Najeźdźcy niszczyli systematycznie dobytek materialny i gospodarczy „tubylców”; niszczone były zwłaszcza fabryki, cały sprzęt, maszyny, narzędzia, demontowano i wywożono na Północ. Nie będzie przesadą powiedzieć, że budzący taki podziw, nowoczesny przemysł motoryzacyjny i inny Turynu czy Mediolanu utoczył się na tym, co zagrabił na Południu. Żeby mieć skalę porównawczą tego procederu wystarczy przypomnieć sobie analogiczne postępowanie Niemców w Polsce zarówno podczas pierwszej, jak i drugiej, okupacji w obu wojnach światowych. Lecz przecież Niemcy nie głosili przynajmniej, że nas wyzwolili od złej władzy i „zjednoczyli” z germańską Macierzą. Do tego dochodziły ogromne kontrybucje i niesłychana wprost wynalazczość okupantów w dziedzinie nakładania obciążeń podatkowych. Z tego celowego wtrącenia w ruinę Południe rzeczywiście już nigdy się nie zdołało podźwignąć. A to, że dzisiaj inni muszą na nie płacić, to przecież nieprzewidziany przez nikogo – również przez liberałów „zjednoczycieli” – skutek wymyślenia „państwa opiekuńczego”, już kilkadziesiąt lat później. Bynajmniej nie przez monarchię burbońską.

Podsumowując te, selektywne rzecz jasna, spostrzeżenia, należy dodać, że prawdziwościowy fundament rzetelnej oceny dobroczynności – bądź przeciwnie – jakiegokolwiek formy politycznej posiadamy od wieków między innymi w tak klasycznym dziele fundatorskim naszej tradycji, jakim jest filozofia polityczna Arystotelesa. Definiując w *Polityce* (I, 1252 b) cel doskonałej wspólnoty politycznej Stagiryta pisze: „powstaje ono [państwo] dla umożliwienia życia, a istnieje, aby życie było dobre”

(*gignomenē men oun tou dzēn heneken, ousa de tou eu dzēn*). Chyba jeszcze zgrabniej myśl ta oddana została w przekładzie łacińskim Wilhelma z Moerbecke: *facta quidem igitur vivendi gratia, existens autem gratia bene vivendi* [„uczynione więc dla życia, istniejące zaś dla dobrego życia”].

Gdyby zatem nawet dać wiarę tym, co powiadają o „bolesnych, ale nieuniknionych kosztach” *zjednoczenia* – tym samym zatem milcząco negują pierwszą część definicji Arystotelesa o „umożliwieniu życia”, traktując tych, którym zabrano życie, jako owe konieczne „koszty” – to i tak, w świetle przytoczonych argumentów, nie da się obronić teza główna, o polepszeniu życia. **Dla *Duosiciliani* i innych podbitych „zjednoczenie” nie oznaczało pod żadnym względem – ani materialnym, ani duchowym – przejścia od „złego” czy „gorszego” do „dobrego” czy „lepszego” życia.** I nie chodzi tu tylko o skutki bezpośrednie. Spójrzmy jeszcze na koniec, „z lotu ptaka”, na 150-letnie dzieje zjednoczonej państwowości włoskiej: jakież jest ich ogólny bilans? Najpierw pół wieku państwa liberalnego, która najwięcej energii wkłada w „zimną wojnę” już nie tylko z papieżem, jako „obcym suwerenem”, ale po prostu z religią narodu, nad którym panuje; państwa, które omal nie kończy podbite przez rewolucję komunistyczną, przed którą ratuje się tylko wpadnięciem pod rynną statolatrycznej i operetkowo-imperialnej dyktatury faszystowskiej. Dalej okres powojenny, też zaczynający się bezkarnym terrorem komunistów, a potem pół wieku totalnego złodziejstwa demokratycznej klasy politycznej. A dzisiaj dość zabawny, owszem – ale czy państwo to scena komedii *dell'arte*? – i nawet póki co niezastąpiony jako alternatywa dla „nowej” lewicy, bohater politycznej opery *buffo*, zręczny w opałach jak Arlekin, a lubieżny jak Brighella, tyle że w wieku Pantalone. Zaprawdę, Włosi, nie tylko ci ongiś podbici, nie mają powodów, by chlubić się takim państwem.

*Jacek Bartyzel*